

EMIL PESCHKAU.

PIEGI.

Wieś Weudel w pobliżu Berna, była przed wiekami siedzibą rycerzy szlacheńskiego rodu Weudelstein. Na wzgórzu, piętrzącym się ponad wsią, widniał na pół zrujnowany zamek, z którego zasnici ci panowie wyprawiali się po łupy i inne zyski rycerskiego rzemiosła. Terazniejszy posiadacz zamku z przyległościami zwie się wprawdzie również baronem Weudelstein, lecz w żyłach jego nie płynie krew dawnych panów. W młodości bowiem znano go pod nazwiskiem Lewi'ego, gładka zaś, nie wyprawy zbójckie, dostarczyły mu środków do życia. Gdy z biegiem czasu uzyskał szlachectwo, przybrał przydomek „von Weudelstein”. Później jeszcze zaniedbał nazwiska „Lewi” i odtąd zwał się tylko: Serafin baron Weudelstein. Na zamek zjeżdżał raz do roku, by polować przez kilka tygodni w jesieni. Ciągnął ze sobą wozy, pełne nieprzemakalnych ubiorów myśliwskich, strzelb przeróżnego rodzaju i olbrzymiej ilości ładunków. Miał się obawiać czego biedny zwierz leśny! Przez cały rok zresztą mieszkał w Wiedniu na Ringsstrasse, gdzie miał własny pałac, lub w ładnej, stylem gotyckim budowanej willi w Vöslau, w zamku zaś panował samowładnie rządca p. Mislowicz wraz z swą córeczką Anulką. Miał on brata daleko, bo aż w Banacie, również rządzącą dóbr, należących do hr. Terkely; brata tego niebiossa obdarzyły syn m, studiującym już od pół roku chemię na wiedeńskiej politechnice. Było więc rzeczą całkiem naturalną, że siostrzeniec podczas pierwszych wakacji — była to Wielkanoc — odwiedził nieznanego sobie jeszcze stryja. Puścił się na tę wycieczkę tem chętniej, iż towarzyszył mu w niej kolega, Franciszek Wellisz, rodem z Berna, znający Morawy jak swoją kieszeń.

Obaj młodzieńcy, ku wielkiemu zadowoleniu gospodarzy, ożywili jednostajnie spływające na Weudelsteinie dni, sami znowu znaleźli wszystko nadspodziewanie lepiej. Zamek był wcale połączoną siedzibą, a zrujnowana jego część z zapadłymi murami, łukami śmiało w górę strzelającymi, wieżami, kryjówkami i podziemnymi gankami, podsycala wyobraźnię i stanowiła teren zajmujących poszukiwań. Te ostatnie dawały sposobność do opowiadania rozmaitych, pełnych tajemniczości baśni, a sprawiających pewne wrażenia w czasie księżycowej nocy u stóp ruin. Nie brakowało i innych rozrywek. Wędrowano po dużym lesie, otaczającym wieś, wdrapywano się na wzgórze i nadawano im rozmaite nazwy, jak: pagórek Anulki lub Lewi'ego; wreszcie urządzano zabawy na dużym zamkowym dziedzińcu i zapraszano na nie z całej okolicy wesolą młodzież obojga płci.

W tych wszystkich rozrywkach Anulka zajmowała pierwsze miejsce, a zarówno Robert jak i Franciszek nadskakiwali jej, o ile możliwości; pierwszy atoli, z natury bardziej w sobie zamknięty, nie stanał z kuzynką na tak poufalej stopie, jak drugi, śmielszy i żywszy. Kuzyneczka ta była miłośnikiem dziewcząt, obdarzoną ową chwytnością za serce naiwnością, o której Morawiaci twierdzą, że jest wrodzoną tylko dziewczętom ich kraju. Miała swój rozumek i pewne wykształcenie, a przecież była niekiedy tak rozkosznie głupią, że gdyby nie jej czysty wzrok i poważny wyraz twarzy, możnaby ją posadzić o komedję. Wesola i swywolna, lecz nie lekkomyślna, z łatwością zmieniała srebrzysty śmiech w gorące łzy i naodwrot. Miłując dziecko, rozumiejące się na żartach, nie żałowało całusa, gdy trzeba było wykupić fant. Był to zmysł prosty i czysty, nie pogardzający bynajmniej fałsem, lecz i nie zaniedbujący pałacu, szczerze pobożny, niezachwiany w wierze, pomieszanej nieco z przesadami.

Pewnego popołudnia spoczywał Robert w cieńnię wieżycy, obrośniętej bluszczem. Rozmarzony spoglądał to na dymek, wydobywający się z zapalonego cygara, to na sinawe obłoczki, przeciągające tu i ówdzie po lazurze niebios. Niekiedy otrząsał się z zamyślenia i zwracał wzrok na rozległy krajobraz lub też na założony u stóp wieży miłuchny ogródek. Nie było w nim nic szczególnego, a przecież regularne trawniki, ładnie obcięte krzewy bukszpanu, tworzące płot naokoło kwater, ścieżyny wysypane białym pia-

skiem i tu i ówdzie rozkwitający pączek, mile sprawiały wrażenie. Mimowolnie przysłała na myśl Robertowi Anulka: ona również dla swej prostoty i naiwności jest czarującą dziewczynką, jakiej nie spoiseł dotychczas. Podniecona jego wyobraźnia tworzyła z dymu najrozmaitsze — ułotne niesieły — obrazy. Przyjemne to zajęcie przerwał mu nadchodzący ze dworu Franciszek, który oświadczył, że do poobiedniej drzemki nie czuje najmniejszej ochoty; dlatego chciałby nieco pogawędzić. Rozumie się — dodał — jeżeli ci nie przeszkadzam w twoich marzeniach.

— Ależ bynajmniej — brzmiała odpowiedź, ten jednak głosu zdradzał nieprawdę. Franciszek zauważył przeświadczenie:

— Zresztą nic nie szkodzi, choćbym ci nawet przeszkadzał. Wszelkie marzenia są bezowocne. Jeżeli się kochasz, dlaczego jej tego nie wyznasz?

— Ja — miałbym się kochać? — zawołał Robert, a lekki rumieniec pokrył mu twarz. — Ktoż to coś podobnego nabijał?

— Nikt nie potrzebował mi o tem mówić, spostrzegłem sam. Lecz przebaczam ci, gdyż Anulka jest śliczną dziewczynką.

— Cóż znowu!

— Nie jesteś mego zdania? A ja sądziłem, żeś zakochany po uszy.

— To źle sądziłeś.

— Daję słowo, że mam słusność. Czy myślisz, iż nie spostrzegłem, jak ty się w nią ustawicznie wpatrujesz? Możesz zaprzeczyć? Cóż tam znajdujesz na jej twarzy tak ładnego, że i na chwilę nie spuszczasz jej z oka, skoro razem jesteście.

— Przecież nie jej piegi! — odpowiedział Robert z uśmiechem.

— Plegi? Nie spostrzegłem tego. Miałaby je rzeczywiście?

— I jakie jeszcze! Przyjrzyj się jej tylko dobrze, to znajdziesz pod oczyma olbrzymie... Tak, tak Franiu, ten twój krótki wzrok często ci szkodzi. Nie zapomnij nawiązać na nos szkieł, nim się chesz zakochać, gdyż pewnego pięknego ranka mógłbyś spostrzedz, że zamiast żony posłubiłeś wielką wielką plamę wątrobianą... No, a teraz, gdy obydwaj nie możemy spać, chodźmy się przejść. Na szczęście znalazłem także dwa stare rapiry, więc pofektujemy się nieco.

Zaledwie obydwaj przyjaciele ruszyli z miejsca, otworzyły się powoli drzwi wieży i ukazała się w nich główka Anulki. Skoro spostrzegła, że Franciszek i Robert zniknęli na zakręcie, wyszła czempredzej, przebiegła ogród i wpadła do swego pokoiku. Z niezwykłą szybkością pochwyciła stojące na komodzie lustro, stanęła do światła i popatrzała weń. Nie zwracała jednak uwagi ani na naładny owal twarzy, ni na zgrabny nosek, ślicznie zakrojone usteczka, lub dołki w podbródku i brunatne loki, otaczające jej czoło; nie spostrzegła też, błyszczących się w wielkich błękitnych oczach; widziała tylko plamki, które speściły nos i policzki. Dawniej nie zważała na nie i bynajmniej nie frasowała się nimi. Wiedziała, że natychmiast, gdy ostatnie śniegi stopnieją na szczytach gór, każdy dzień gorący dodaje do nielicznych plamek coraz nowsze; wiedziała, że są to plegi, nie myślała jednak nigdy, że te plegi szpecą. Dzisiaj po południu zamiast, jak zazwyczaj, u siebie w pokoiku, odpoczywała w wieży, skracając sobie czas czytaniem i pocieszającą, tam zakryta murem słyszała rozmowę obu młodzieńców. I ten kuzyn, któremu tak ufała, którego tak lubiła, ten kuzyn sztychował z niej, wyśmiewał i wytykał jej plegi. To oburzające!

Od tej chwili zmienił się znacznie stosunek wszystkich osób do siebie. Anulka stroniła od zabaw, a jeżeli już musiała wziąć w nich udział, to była względem Roberta zimną i obojętną, gdy przeciwnie Franciszka jawnie kłótełowała. Wypływające stąd sceny zazdrości dawały powód do nowych niesnasek. Pan Mislowicz był niezadowolony, gdyż studenci nie słuchali już tak uważnie opowiadań z jego żołnierskiego życia; stara Marysia zaś, i tak niechętna owym odwiedzinom, wszystkimi siłami starała się o podsycanie zobopólnego rozdrażnienia. Robert nieco wrażliwy z natury, spostrzegłszy chłód gospodarzy, postanowił w końcu do domu. Przy obiedzie, objawiając swój zamiar, bacznie obserwował Anulkę. Obojętnie bawiła się galeczkami chleba. — Kokieta — pomyślał, obrażony do żywego. Nasamprzód ja byłem cłiarą, później Franciszek, teraz cieszy ją odjazd nas obu. Dopiero przy pożegnaniu zmógł nieco i chciał pytać się, czy

jest zagniewana na niego. Spostrzegłszy atoli, że Franciszkowi podała całą rękę, a jemu tylko dwa palce — milczał.

Na szczycie tej samej wieży, w której podслуchała Anulka młodych przyjaciół, siedziała obecnie i w lekkiem oczekiwaniu patrzyła na drogę. Teraz wyszli z lasu; ona, mając wzrok do bry widziała raz jeszcze twarz Roberta. Potem odwrócili się i rześko maszerowali drogą. Anulka ścigała ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli, a potem upadła na ławkę i zapłakała — z bólesci i gniewu.

Po tych wypadkach zmieniła się nie do poznania. Wesolość znikła, upór zaś i kaprysy panienki, dawniej tak sprawiedliwej i łagodnej, dziwiły całą służbę. Przesadzała zupełnie, kładła chleb na stół odwrotną stroną i rozbiła lustro; wszystko to niezmiernie przstraszało Marysię, gdyż nigdy jeszcze tyle złych znaków nie zeszło się razem. Anulka smutek zagłuszała gniewem i wmawiała sobie, że Robert jest jej obojętnym i tylko przez swoje szyderstwo ściągnął jej gniew na siebie. Nie chciała myśleć o kuzynie, a coraz bardziej za to przychodziły jej na myśl — plegi. Ach! gdyby się ich pozbyła, a Robert błagał wtenczas o wzajemność, z jakim szyderstwem — — — jaka szkoda, że to piękny sen tylko! Jaka szkoda, że nie może się zemścić! Jaka szkoda, że nie ma żadnego środka przeciwko plegom! Czy rzeczywiście niema żadnego? Stara Marysia, umiejająca na wszystko znaleźć lekarstwo, i tutaj potrafił pomódz.

Na pomarszczonej twarzy starej gospodyni zawiśł uśmiech, gdy usłyszała żądanie Anulki. Więc to ta okoliczność rozstraja panienkę? Ależ temu można nader łatwo zapobiedz.

Objaśniła zatem panienkę, co ma uczynić, by pozbyć się plegów. Twarz należy obmyć rosą; następnie z brzoową gałązką w ręku iść tak długo, dopóki nie napotka się pierwszego ładnego chłopca. Wtenczas trzeba prędko go pocałować — o co z pewnością nikt się nie rozniewa — a szkodliwe plegi znikną wkrótce na zawsze.

Anulka wierzyła wszystkim baśniom, którei karmiono ją od dzieciństwa. Była przekonana, że zjedzony rankiem w nowy rok wieprzowy ożór przynosi szczęście i że wróży się zła przygoda, jeżeli kto rozbił zwierciadło; przy nadchodzącej pełni, obcinała sobie końce włosów, a w piątek nie robiła by coś ważniejszego za nęc w świecie, również nosiła przy sobie dziurawy cent na szczęście — sposób usunięcia plegów atoli wydawał się jej nieco za śmiały.

Starą Marysię gniewały podobne wątpliwości. Czyż nie radziła jej przed kilku miesiącami brodawkę na ręce przewiązać nitką i zakopać następnie tę ostatnią pod rynną? I czy ją w ten sposób nie wyleczyła? Anulka potwierdziła główką. Pocałunek więc będzie również skutecznym lekarstwem przeciwko plegom. A zresztą niema w tem nic niebezpiecznego, można w końcu prędko uciec, a każdy młodzieniec zachowa w pamięci całe to zdarzenie jako nader miłą awanturkę. Takiego całusa nikt nie może wziąć za złe, jak nikt nie bierze za złe całusa za fant. Na taki może się odważyć najcenniejsza dziewczyna; ona sama przecież choć poświęciła w pańskim stanie, za swych młodych lat nie zawahała się się przed nim. I od tej chwili plegi nie szpecą jej twarzy, jak o tem każdy się może przekonać.

Teraz Anulka nie wątpiła o skuteczności doradzanego jej sympatycznego środka, zwlekała jedynie jego wykonanie. Lecz w końcu pozbycie się plegów i zemsta nad Robertem warta więcej, aniżeli jeden całus. Kilku ładnych chłopców, jacy byli we wsi, należało do koła jej znajomych i każdego z nich pocałowała przy fantach już nieraz. Cóż to więc nadzwyczajnego? A zresztą krok ten należał do rzędu awanturek i psot, które tak lubiła. Na tę myśl zaśmiała się głośno i wesolo, smutek ułotnił się niespodziewanie, a z wielkich, błyszczących oczów przeświecała radość — —

Nazajutrz przecież ponownie zabrakło odwagi. Przyrzekła jednak sobie samej, że czynu dokona więc słowa nie złamie.

(Ciąg dalszy nastąpi).